# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 20 stycznia, 1888 r. Nr. 3.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

## Z dawnych czasów i teraźniejszych dni.

Przez

**KS. DR. CHOTKOWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy.)

Biskup zresztą załatwiał takie sprawy na krótkiem toporzysku.

Oto n. p. Paweł, szynkarz w „nowej piwiarni" na Zamku krakowskim, wybił oko Dorocie Ganczarce z Kazimirza. Musiało to w XVI wieku tak samo boleć, jakby bolało i w XIX, więc Dorota pozwała Pawła przed sąd biskupi, a tu krakowskim targiem zgodzili się po przyjacielsku na to, że on jej zapłaci za oko i źrenicę siedm złotych polskich na leki — i to pod zagrożeniem kar kościelnych. Była to jednak suma tak znaczna na owe czasy, że Paweł od razu zapłacić jej nie mógł. Więc zobowiązano go do płacenia na raty w ten sposób, że od razu położył na stole 2 złp., 1 złp. dał na św. Michał, drugi na Bożenarodzenie, dwa na niedzielę „Invocabit" (t. j. pierwszą postu), a resztę na Zielone-świątki. — Działo się to przed sądem biskupa Piotra Tomickiego dnia 20 lipca, 1524 r.

Wierzę mocno, że pan Paweł był ostrożniejszy na przyszłość i mniej porywczy do wybijania oka, zwłaszcza płci pięknej, bo wedle mojego obrachunku zapłacił przy tej „przyjacielskiej ugodzie", jak się ksiądz notaryusz wyraża (oczywiście po łacinie), ni mniej, ni więcej, tylko 325 marek pruskich teraźniejszej monety. Do tego obrachunku przychodzę zaś tym prostym sposobem, że złoty polski miał naówczas 30 groszy polskich. Grosz zaś był wówczas tyle wart, co dzisiaj najniższa ofiara na mszę św. W innej bowiem księdze zapisano pod rokiem 1526, że biskup Tomicki nakazuje plebanowi Zatora, Pawłowi, aby wikaryuszom dawał za każdą mszę św., której sam odprawić nie może, 1 grosz polski. Jeżeli się więc przyjmie, jako najniższe stypendyum funduszowe mszalne, 1 markę teraźniejszą, to złoty polski ówczesny byłby wart tyle, co 30 marek. Ale ponieważ dzisiaj już minimum funduszowe w Wielkopolsce od czasów arcybiskupa Ledóchowskiego oznaczone jest na 1 mr. 50 fen., więc i wartość grosza polskiego należy w tej wartości obliczać, a w takim razie Paweł zapłacił za oko Dorocie Ganczarce tyle, co 325 marek pruskich.

Byłoby jednakże niesprawiedliwością rzucać na społeczeństwo krakowskie tę plamę, że nie znało przyjemniejszej zabawy nad wybijanie oczu. Owszem księgi biskupie świadczą, że bardzo lubione były wówczas kostki, karty, mianowicie osobna gra, zwana „kozyry", i gra w kręgle, zwana „figury". Że o pieniądze grano, nie potrzeba dodawać, a że grano namiętnie, świadczy np. to, że w kręgielni na Łobzowie zgrał się ktoś, którego wymienić tu nie mogę, tak dalece, iż przyjaciel zabrał mu suknię, a on nie miał w czem wracać do miasta i musiał nocy czekać. Na to jedno warto jednak tu jeszcze zwrócić uwagę, że pomiędzy r. 1510—1580 raz jedyny spotyka się w księgach biskupich krakowskich wzmianka o piciu wina palonego, „alias gorzałki". Widocznie nie był ten trunek jeszcze tak dalece na nieszczęście ludzkości i społeczeństwa polskiego rozpowszechniony, jak dzisiaj.

Rojno i strojno, gwarno i swarno, huczno i buńczuczno było w Krakowie w XVI wieku. Nad społeczeństwem polskiem nie ciężyła ołowiana chmura nieszczęść, ani na drzwiach domu polskiego nie było wyryte krwawemi głoskami szekspirowskie pytanie: „być, albo nie być". Król na zamku, setki dworzan, panów, szlachty, rycerzy pancernych i żołnierzy; stu księży na zamku i drugie tyle w Krakowie; biskup krakowski, pan na 200 wsiach i 5 zamkach warownych, drugi z rzędu senator korony i sędzia z całem mnóstwem urzędników, notaryuszy, prokuratorów — jakie to musiało nadawać piętno owdowiałej dzisiaj stolicy, której z tego wszystkiego blasku zostały tylko pamiątki i groby! Wiek każdy musi być też sądzony swoją własną miarą i ze swego własnego punktu widzenia. Więc jeśli się tyle czyta o krewkości tych ludzi, tak skłonnych do bójki, że nawet zakonnicy do nich się porywali i wyrębywali bramy klasztorne, że młodzież przede wszystkiem burdy uliczne wyprawiała, to należy brać przytem na uwagę, że w tym samym czasie w innych krajach, mianowicie w Niemczech, sto razy jeszcze gorsze się rzeczy działy, jak to wykazał Höfler w swojej monografii pap. Hadryana VI (str. 18 sq.) i Jansen w I tomie swojej historyi niemieckiego ludu. Tam złodziejski rabunek nie hańbił tarczy rycerza — u nas rzemiosła z rozboju nikt nigdy nie robił. Łatwo było zakasywać przodkom naszym do bójki szerokie z wylotami rękawy — dziś rękawy obcisłe przykroiła nam bieda, a ogólny smutek narodu nawet młodzież uczynił po nad wiek powa-

żną. Politykują starzy, politykują młodzi, politykują nawet kobiety.

Ale otóż właśnie doszedłem do tego, od czego zacząć zamierzałem pierwotnie, t. j. do kobiet w XVI wieku. Mam ich sporą liczbę wynotowanych, a choć to zupełnego obrazu dać nie może, przecie zdoła rzucić pewne światło, mianowicie na mieszczanki krakowskie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# GWIAZDKA.

Mała, jasna gwiazdka w górze,
Co tam świeci na lazurze,
Tak wciąż na mnie mruga zdala!
Czy mnie gani?... czy pochwala?...
Gwiazdko złota, ty świetlana,
Zapalona ręką Pana,
Postawiona w słońc szeregu
I popchnięta tam do biegu,
Ku tobie ja oczy wznoszę,
Naucz ty mnie, naucz, proszę,
Jak stać silnie i wytrwale
Mimo wichry, mimo fale!...
Ręką Pana w bieg popchnięta,
Szukam, gdzie droga wytknięta!
Zgadnąć pragnę, kędy słońce
Wiedzie gwiazdki wirujące.
A więc nie kryj się chmurami,
Świeć wciąż jasno ponad nami,
Złota gwiazdko moja mała,
Bym się w biegu nie zbłąkała.
Jak ty, chmury chcę odpychać,
Wolną piersią chcę oddychać!
Jasność, od Boga nam dana,
Niech nie będzie w głąb' schowana.
Jak ty lejesz światła zdroje,
Tak niech chęci, czyny moje
Utrudzonym pod brzemieniem
Będą dźwignią, pokrzepieniem!...
Tęsknym braciom i spragnionym
A niedolą przygnębionym
Do serc światło wiary wleją
Wraz z osłodą i nadzieją. —
Siostrą twoją stać się muszę!...
A choć w jednę tylko duszę
Każda z nas — choć po iskierce
Zatli, co Bóg tchnął w jej serce,
To spokojna i świetlana
Przed obliczem stanie Pana.

*Marya K. z O.*

# KOHINOR.

NOWELA BARONA A. von ROBERTS.

Tłomaczyła J. M. B

(Ciąg dalszy.)

Anna czytała dalej:

„Nagle z oddziału Kohinora wypada mężczyzna z rozwianym włosem, kurczowo prawą ręką ciśnie czoło i oczy, a usta złożone niby do dzikiego, pełnego rozpaczy krzyku, który lada chwilę wybuchnąć musi. Jest to baron Czermak. Jak nieprzytomny zatacza się wzdłuż koryt, pośród głów koni, co, różnemi świecidłami upstrzone, na występ w pantominie czekają. — A tam, przy końcu stajennego ganku, ośmiu pachołków, okrytych parą, jakby obłokiem, wycierają suknem połyskujące członki Kohinora. Zwierzę drży gwałtownie, po całem ciele nabrzmiewają mu żyły, rozdymają się szerokie nozdrza pięknej jego głowy, a wielkie oczy araba płomienieją i iskry rzucają w niewypowiedzianem rozdrażnieniu. On wie, co się stało! On zna winę swoję i nie żąda przebaczenia ze względu na to, że zwierzęciem jest tylko — bo on więcej jest jak zwierzęciem!

„Baron Czermak chwiejnym krokiem przechodzi — zdaje się, nie dostrzegł Kohinora — posuwa się dalej ku wyjściu, tłumiąc jęk cichy....

„Na wielkiem pudle przy bramie siedzi mała Indyanka, uroczyście i tajemniczo do przedstawienia przystrojona; w szerokim jej pasie ze złotej materyi tkwi piętnaście noży, któremi jej ojciec, słynący zręcznością, na dwadzieścia kroków oddalenia główkę jej, jakby aureolą, otoczy.

„Gdy Czermak zoczył dziewczątko, zatrzymał się. Dziwna rzecz!... Błyszczące noże budzą w nim przypomnienie, zdaje mu się w tej chwili, iż widzi stojącego Kohinora, drżącego jeszcze wśród unoszącej się pary.

„Dawaj — woła — dawaj! — i wydziera dziecku jeden z noży, utkwionych w jej pasku. Dziewczynka patrzy na niego swemi wielkiemi, rozumnemi oczami. On biegnie z powrotem przez ganek z zaciśniętą pięścią, a w drugiej zaciśniętej trzyma stal połyskującą, oczy jego płomienie ciskają, wściekłość go ogarnia, od zmysłów odchodzi!... cóż uczyni z nożem? oto rzuca się na Kohinora! — zabije bezbronne zwierzę i natychmiast na zbrodniarzu śmierć ukochanej pomści! — Krwi tylko, krwi płynącej mu potrzeba, aby uśmierzyć ból pierwszy, bezmierny....“

— Szaleniec! zawołała hrabina, przerywając czytanie, ale co za człowiek, jaka w nim namiętność, jaka gorącość uczuć!... I oczy jej zajaśniały najwyższem wzruszeniem, lecz ani słowem, ani spojrzeniem nie zwróciła się ku sąsiadowi swemu wobec zajmującego ją wyłącznie opisu, jakoby zapomniała zupełnie o obecności jego. Głęboko odetchnąwszy, zaczęła czytać dalej, a głos jej drżał:

„Ręka jego, uzbrojona w błyszczący nóż, zmierza w pierś Kohinora! — Ktoś ze służby chwyta go za ramie: — Ależ to niegodziwość, to szaleństwo! — wołają i rzucają się na niego, krępują; mocuje się z nimi — walczy z siłą rozpaczy. — Ha! — Cóż to? Ruchem szybkim, jak błyskawica, ku własnej piersi skierował koniec noża — ale dłoń jakaś żelazna powstrzymała i to uderzenie. — Odciągają wzburzonego na stronę, pierś jego ciężko oddycha, jak gdyby rzeczywiście cios śmiertelny był w nią ugodził. — Kilku przyjaciół przybiega i w ich ramiona pada zemdlony.

„Podczas pogrzebu Mis Belleir, Mohamed, imponujący koń rasy trakeńskiej, którego zmarła na przemiany z Kohinorem do konnej jazdy używać lubiła, uwieńczony kwiatami, szedł za jej trumną, istną górą ruchomą z kwiatów — Mohamed szedł, a nie zbrodniarz Kohinor. O nim mówiono, że nie żyje, skazany na śmierć przez barona Czermak, że wyrok już spełniony. Opowiadano też o niesłychanej, bajecznej cenie, którą baron Czermak właścicielowi cyrku Balbi za niego zapłacił. Stary ten sztukmistrz z oburzeniem myślał o dokonaniu podobnej zemsty i konia wydać nie chciał.

— Ależ, panie baronie, koń... nie będziesz pan chciał przecież targać się na zwierzę!

— Muszę go mieć, chcę go mieć, panie Balbi, za jakąbądź cenę Kohinor musi do mnie należeć!

„Aby go odstraszyć, postawił Balbi cenę nie do uwierzenia wysoką. Hrabia okazał się gotowym żądaną sumę zapłacić, ale Balbi oparł się temu z niewypowiedzianem oburzeniem.

— Powtarzam, że muszę i chcę go mieć! — zawołał Czermak zniecierpliwiony. On jest milion wart dla mnie, ma więcej dla mnie wartości, jak świat cały, jak wszystko inne na świecie; jakąkolwiek cenę położ pan na niego — wszystko mi jedno!

— A więc... ośmdziesiąt tysięcy franków! — rzucił Balbi niedbale. Brzmiało to, jakoby szyderstwo; w gniewie nad tem, co się stać miało, z ust mu się wyrwała tak bezczelnie wygórowana cena.

„Bez najmniejszej oznaki zdziwienia, bez wahania wyciągnął hrabia pugilares, wyjął z niego paczkę banknotów, wydarł czystą kartkę papieru, na której rewers nakreślił i do banknotów dorzucił.

— Interes skończony!

„Tego już było za wiele ... Balbi zdrętwiał.

— Nie mogę przyjąć, nie chcę!... wołał, lecz baron był już za drzwiami, banknoty leżały na stole. Wreszcie dawna jego żyłka i lubownictwo koni nie dały mu spokoju, i mówią, że nieruszone leżały na stole, a nawet podobno przez okno wyleciały owe ośmdziesiąt tysięcy.

„Zupełnie po wojskowemu kazał Czermak szwadronowi strzelców stracić Kohinora. Bez jęku, ugodzone przez kul dziesięć wspaniałe to zwierzę potoczyło się w piasek. Następnie nakazał Czermak spalić go na stosie, ażeby tem zadosyć uczynić szlachetnemu jego pochodzeniu. Był to najpiękniejszy koń arabski, jakiego kiedykolwiek wydała węgierska stadnina w Bobolnie, gdzie hodują jeszcze czystą krew arabską. Ród swój wywodził aż od Mirży, owego sławnego arabczyka, należącego do Beya tunetańskiego; jego kłus hiszpański, w którym wyglądał, jakby się unosił na skrzydłach w powietrzu, wzbudzał podziw całego sportu. Kohinor był arcydziełem natury, i nigdy ani przed nim, ani po nim rówienniki jego nie zasługiwały na świetne jego miano."

Tutaj kończyło się opowiadanie krótkiemi słowami: „ciąg dalszy nastąpi"; autor odsela czytelnika do następnego numeru Przeglądu.

Z głębokiem westchnieniem hrabina opuściła książkę. Wtem służący ukazał się we drzwiach i oznajmił przybycie pana von Borris. Kilka lekkich fałdek niezadowolenia zasępiło jej czoło, a przecież to ten dobry Borris odwiedzić ich przyszedł, ten zwykle tak bardzo pożądany przyjaciel i sąsiad. Drobna jej rączka z uroczystością niezwykłą przecierała czoło i oczy, jak gdyby chodziło o usunięcie czarów jakich, lub uroku.

Koścista i zawsze zimnem przejmująca ręka pana von Borris ujęła dłoń jej i poniosła ją do ust.

— I cóż? w tem przeciągłem nieco, zdziwienie zdradzającem pytaniu zwracać się zdawał sympatyczny głos jego do niej, jak do dziecka, zarazem lewą rękę podając hrabiemu, rzekł:

— Dzień dobry, stary przyjacielu!

Cóż im było obojgu? hrabia Henryk, którego twarz tak dobrze udawać umiała zniechęcenie, w rzeczywistości obce jego sercu, uderzające zdradzał rozstrojenie, a niebieskie, dziecięce oczy hrabiny, których blask spokojny zwykle tak podziwiano, paliły dzisiaj dziwnym jakimś ogniem.

Coś się tu stało; czy zatliła się może iskierka, która próżnię, dzielącą ich serca, oświetliła nagle w rozpaczliwem ich położeniu? Nie można też było od ich sztucznego związku wymagać szczęścia gruchających gołąbków; lecz przykrem było wiedzieć o tem, że te dwa serca potajemnie tęschniły, martwiły się i dręczyły, a jednak żadnej znaleźć nie umiały drogi wyjścia z tej próżni i pustki.

Jak kwiat kosztowny, strzeżono ją od mrozu, skwaru i ostrych powiewów życia codziennego. Jej światem były kobierce kwiatów, wśród których i ona rozkwitała, a myśli jej i pojęcia o rzeczywistym świecie, jak woń kwiatów, bezcielesne były, delikatne, idealne.

Pewnego dnia została narzeczoną. Ta nowa godność jakimś blaskiem słonecznym ją otoczyła! Drżąca była i olśniona. On był pięknym i wspaniałym, ujmującej powierzchowności; ciemne jego oczy niezwykły wokoło siebie roztaczały urok, któremu trudno było się oprzeć.

Czasem słowo „przeszłość" zabłądziło pomiędzy wyrazy gawędy jakiej, jego dotyczącej. Czemże jest nieraz przeszłość? Jakiż to niemiły, pełen ciężkich tajemnic wyraz... ach! pocoż pytały księżniczki w bajkach o przeszłość książąt swoich? Precz z tem! — ona chce tylko kochać, kochać i nic więcej! Ona chce być szczęśliwą!

A on?... szalenie i hulaszczo żył podczas służby wojskowej, którą razem z Borrisem pełnił w gwardyi przybocznej. O jego extrawagancyach dziś jeszcze opowiada kronika koła oficerskiego. Ale zerwał z przeszłością, przyjaciele jego i dawniejsi towarzysze zdumiewali się nad świetnie przybraną przez niego maską wzorowego małżonka. Niezawodnie był on dobrym, lecz zdawało się, że przy zakończeniu dawnego życia i serce jego przez pomyłkę zamkniętem zostało. W oczach jego Anna była i pozostała na zawsze dzieckiem, którego naiwna wyobraźnia rzeczy tego świata różowemi barwami rozjaśniać lubi. Z pewnością, był on dobrym, lecz ona cierpiała niewypowiedzianie pod opieką tej zawsze łagodnej, zawsze jednostajnie obojętnej dobroci. Starannie ukrywał tajemnicę swej przeszłości; działoż się to przez szacunek dla tej świeżej, jak kwiat, istoty, czy też z obawy, aby zorza prawdziwego szczęścia, która może choć później mogłaby opromienić urokiem swym ich dusze, nie zbladła wtenczas wśród ciemnej, jednostajnej nocy na zawsze?...

(Dokończenie nastąpi.)

# Uroczystości rzymskie.

Uroczystości jubileuszu 50-cio letniego kapłaństwa Leona XIII-go wywołują powszechne zdumienie, a oprócz tego w jednych sercach budzą pociechę, w drugich rodzą niechęci i złośliwość. Mało kto zdaje sobie sprawę z rzeczywistego znaczenia tej demonstracyi. Kierunek myśli ostatniego półwieku, a zarazem współczesne wypadki europejskie nakłoniły umysły ludzkie ku czci bałwochwalczej dla siły fizycznej. Kult ten pogański odbił się jaskrawo na wszystkich płodach umysłowych przedostatniej epoki. Zdradzali go historycy, poeci, sztukmistrze i filozofowie drugiego półwieku. Siła duchowa, moralna została zapoznaną, sponiewieraną. Panna Klemencya Roger zalecała uśmiercanie noworodków wątłych bez względu na to, że z takich wyrastali najczęściej myśliciele i wielcy ludzie. Herbert Spencer potępił miłosierdzie chrześciańskie dla nędzarzy, przesądzając z góry, że z szeregów takich wychodzić koniecznie muszą także nędzarze, a nie zastanawiał się nad tem, że rzeczywistość nie zawsze zgadza się z teoryą, że bardzo często widzimy synów marnotrawnych ojców, odzyskujących bogactwa, utracone przez przodków, że równie często dzieci dorobkiewiczów utracają nagromadzoną przez rodziców fortunę, i to w bardzo krótkim przeciągu czasu.

Teorya Darwina walki o byt doprowadzała czytelników do wniosków podobnych, głoszonych przez materyalistów.

W owych czasach kościół rzymsko-katolicki, jako przedstawiciel potęgi moralnej, został otoczony lekceważeniem i szyderstwem. Nieugiętość bohaterska Piusa IX-go, zamiast wywoływać uwielbienie, okrywaną była śmiesznością. Wielu sądziło, że wiekopomne „non possumus" tyle znaczyło, co krakanie wrony na płocie.

„Średniowieczna strupieszała instytucya wali się pod własnym ciężarem" — wołano — większość żywiła przekonanie, że ze śmiercią poprzednika Leonowego skończy się papieztwo na zawsze.

Radykalizm, socyalizm, liberalizm od dołu, a samowładztwo z góry waliły maczugami w stary tron papieski; siedzący na nim starzec latami, ale młody siłą moralną, jak duch nieśmiertelny, ani drgnął pod temi ciosami, nie zrobił żadnego ustępstwa od zasad, rządzących kościołem, a dewiza: *Pereat mundus, fiat justitia* *) zdobiła do końca jego sztandary. Dzisiajszy papież zbiera owoce trudów poprzednika. Świat uwierzył, że obok siły fizycznej istnieje siła moralna, zwyciężająca cierpliwością i niewzruszonością swoją.

Jubileuszowa uroczystość w Rzymie jest to uroczystość zwycięztwa idei nad siłą fizyczną, którą polskie serca, chociaż rozranione krwawo, powinny odczuć! Wszakże i my walczymy tym samym orężem, którym walczył kościół św., to jest cierpliwością i niewzruszonością.

Uroczystości owe rozpoczęły się w październiku roku zeszłego pielgrzymką robotników francuzkich, w liczbie 18,000 osób, pod przewodnictwem kardynała Langenieux, arcybiskupa z Reims i hr. de Mun, prezesa kółek robotniczych.

W dniu 16 października cały orszak po złączeniu się z kolonią miejscową francuzką, w liczbie 3,000 osób, przeszedł liczne sale Watykanu z rozpostartemi chorągwiami i stanął w sali zwanej „Dukali“. Skoro Leon XIII ukazał się na tronie, kardynał Langeniux przedstawił właścicieli fabryk, oraz całą rzeszę robotników, a następnie hr. de Mun odczytał adres od całej pielgrzymki, w którym wyrażone było pragnienie odrodzenia i uświęcenia pracy ręcznej pod przewodnictwem kościoła.

Papież, powstawszy z tronu, odpowiedział, że on także żywi to samo pragnienie i błogosławi z duszy ludziom dobrej woli, pracującym w tym kierunku. Wtedy wszyscy obecni upadli na kolana, a Ojciec św. błogosławił obecnych, ich rodziny i całą Francyą z widocznem wzruszeniem. Przez kilka dni następnych pielgrzymi byli przyjmowani częściowo, przypuszczani do całowania stopy i obdarzeni pamiątkowemi medalami.

Dnia 20 listopada przybyła z Francyi druga pielgrzymka pod przewodnictwem biskupa Germain. Były tam różne osoby z inteligencyi, przyjęte zostały również uroczyście i otrzymały apostolskie błogosławieństwo.

Dnia 8 grudnia Leon XIII przyjmował szlachtę rzymską, widziano tam potomków najstarożytniejszych rodzin, mimo to Ojciec św. w odpowiedzi na adres wiernopoddańczy wyraził żal, że nie widzi potomków wielu z pomiędzy tych, którzy wyniesienie swoje zawdzięczają papieztwu. Ostatnia pielgrzymka, przybyła w roku zeszłym, była węgierska. Recepcya odbyła się z wielką okazałością. Pielgrzymi powiększali tę okazałość świetnością narodowych strojów.

Wszyscy przy szablach, z dziarską miną, malowniczy wielce tworzyli obraz. Skoro wyniosła, biała postać Leona XIII pojawiła się na sali, okrzyk: „Elien!“ wstrząsnął murami Watykanu. Kardynał Simor odczytał adres, oświadczający miłość synowską Węgrów. Papież w odpowiedzi łacińskiej wyraził wiele pochwał dla przeszłości i dla narodu madżiarskiego w ogóle, a głośne okrzyki „Elien!“ kilkakrotnie przerywały jego mowę.

Pielgrzymka ta złożyła 800,000 złr. w złocie i 12 bogato oprawnych tomów z adresami, podpisanemi przez 1,800,000 osób różnego stanu.

Tak więc Węgrzy właściwym sobie kolorytem zaprawili i tę uroczystość.

Z nowym rokiem rozpoczęły się nowe uroczystości i potrwają zapewne długo jeszcze. Dary nadchodzą wciąż, a te, co już przybyły, otaksowano na 60,000,000 franków.

Manifestacya ta więc nietylko pod względem duchowym, ale i przez swoję formę materyalną jest wspaniałą nad wyraz.

Nie zasklepiajmy się w partykularyzmie, umiejmy odczuć ważność chwili i dla siebie nawet zaczerpnąć pociechy z nauki dziejów, rozgrywanych przed naszemi oczyma. Wiedzmy o tem, że owacye, czynione Leonowi XIII, należą się głównie jego poprzednikowi, Piusowi IX, to jest idei, bronionej przez niego aż do ostatniego tchu.

***A. M.***

*) „Niech zginie świat, byleby się stała sprawiedliwość.“

# KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

**Poznań**, d. 19 stycznia.

Prawie od samego początku bieżącego roku toczy się przed drugą izbą karną tutajszego sądu ziemiańskiego proces niezwykły w dziejach sądownictwa polskiego, bo proces, w którym chodzi o ukaranie agitatorów socyalistów za należenie do tajnego, zakazanego towarzystwa i za inne przekroczenia przeciwko ustawie socyalistycznej z 1878 r. Pojąć trudno, czemu właściwie oskarżonych sądzi izba karna poznańska, dla tego, że z siedmnastu podsądnych tylko sześciu pochodzi z Poznania, reszta zaś z Berlina i innych miast niemieckich. Fakt ten można sobie chyba tylko wytłomaczyć tem, że prawie wszyscy podsądni przynajmniej z pochodzenia są Polakami i czysto polskie noszą nazwiska, jak: Sławiński, Kurowski, Witkowski, Janiszewski itp.

Wychodząca nad Renem „Koelnische Zeitung“, która wobec Polaków więcej się już dopuściła grzechów, niż włosów na głowie, wystąpiła przed kilku dniami z twierdzeniem, że obecny proces socyalistyczny w Poznaniu jest dowodem, do jakiego stopnia niższe warstwy społeczeństwa polskiego są skłonne do dążeń rewolucyjnych. Czyż to nie złośliwość, granicząca z bezwstydem? Razem z podsądnymi przybyło do Poznania dziewięciu komisarzy policyjnych z Berlina, a wszystko, co zeznali, świadczy o tem, że stojący dzisiaj przed kratkami sądu socyaliści, jadem idei socyalno-demokratycznych zarazili się i przejęli poza granicami swej polskiej ojczyzny. Niwa polska dotychczas kąkolu socyalistycznego nie rodziła; przyniosły go raczej do nas napływające coraz szerszem korytem fale z ojczyzny Lassala. Najlepiej się to okazało przy ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego. Socyaliści zapowiedzieli wielkie zebranie przedwyborcze, na które stanąć miało kilka tysięcy socyalistów polskich. Tymczasem przybyło na zebranie tylko kilka set osób, i to po większej części robotników niemieckich, a główny mówca wiecowy, niejakiś Velke z Drezna, oświadczył ku wielkiemu zdziwieniu zebranych, że ani słowa po polsku nie rozumie, i że zatem apostołować będzie po niemiecku.

Bądź co bądź, faktem pozostaje, że socyalny demokratyzm zwolenników, jakkolwiek nielicznych, znalazł i w naszem społeczeństwie. Smutne to i bolesne, tem więcej, że właśnie z obecnych rozpraw sądowych się okazało, że znaczna część oskarżonych równocześnie z przejęciem się ideami socyalno-demokratycznemi wzięła rozbrat z polską narodowością i wiarą swą świętą. Z drugiej strony widoków, że zajdzie zmiana na lepsze, nie ma prawie żadnych, bo wszystko, co przeciwko nam uczyniono, jest tego rodzaju, iż tylko dalszego rozrostu socyalizmu, nie zaś jego zmniejszenia spodziewać się możemy.

Z tej przyczyny zrozumieć łatwo, czemu coraz głośniej odzywa się wołanie: „Zachowajcie ludowi naszemu religią.“ I znów wszystkich oczy zwrócone są na dom polski, który jak przed tylu burzami tak i przed nawałnicą socyalizmu ma nas obronić i także obroni....

Radbym korespondencyą tę przeplotł jakiem weselszem wspomnieniem, jaką więcej radosną wiadomością. Tymczasem zewsząd dochodzą, niestety! tylko Hiobowe wieści. Nawet o teatrze naszym gruchła w dniach ostatnich po Poznaniu pogłoska, że zostanie na pewien czas zamknięty. Bogu dzięki, że pogłoska ta okazała się bezpodstawną, i że

raczej walne zebranie spółki akcyjnej teatru, które się dnia 15 bm. odbyło, oświadczyło się za dalszem utrzymaniem sceny polskiej w Poznaniu. Mimo to okazało właśnie rzeczone zebranie, że co do finansowej strony gorzej się ma teatr, niżby tego życzyć wypadało. Wybrano bowiem na walnem zebraniu komisyą, która obmyśleć ma środki względem dalszego utrzymania sceny polskiej w Poznaniu. Czy komisyi się istotnie uda te środki wyszukać, możnaby przy opłakanych naszych stosunkach powątpiewać. My z całego serca życzymy, aby się udało, dla tego, że przy uznania godnych zabiegach dzisiajszej dyrekcyi teatru tenże stanął na stopie takiej, że z chlubą o nim wspominają po całej Polsce.

W ostatnich dniach dziesięciu, jak na czas karnawałowy, bawił nas teatr prawie wyłącznie komedyjkami. Z tych wymieniamy, jako zasługujące na szczególniejszą uwagę: komedyjkę rosyjskiego autora, Wiktora Kryłowa, p. tyt. „Nie kochajcie,“ w której najwięcej zyskali oklasków pan i pani Trapszo, z francuzkiego „Wróble“ Labicha i komedyą sympatycznego autora niemieckiego, Schoentana, pod tyt.: „Wędrująca gwiazda.“ Wszystkie te sztuki obok tego, że nas bawiły, były zdolne przy rozrywce wpłynąć także uszlachetniająco na serca słuchaczy i tem samem dały nam to, czego od teatru żądali już starożytni, a mianowicie były: „zacne i nadobne, użyteczne i przyjemne.“

*Żegota.*

# CO LEPSZE?

## Obrazek sceniczny w jednej odsłonie.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w salonie p. Idy, bogatej, młodej wdowy.

OSOBY:

IDA, wdowa, lat 24.
FELIKS, kawaler, lat 24.
POKOJOWA.

Salon gustownie umeblowany, kwiaty, kanapki, lustra, kominek, okno, stół zarzucony papierami i książkami, biórko.

### SCENA I.

IDA — FELIKS, siedzą na kanapce.

IDA.

A więc, panie Feliksie, znajdujesz, że jestem marmurowa?

FELIKS.

I powtórzę to jeszcze — czy możesz mi pani zaprzeczyć?

IDA.

Nie mam zamiaru przeczyć, powiem tylko, że porównanie zbyt zużyte.

FELIKS.

Pomimo to zawsze nowe — kobieta, którą nic nie wzrusza, która żyje życiem sztucznem, zimnem — jakże ma być nazwaną?

IDA.

A ktoż to panu powiedział, że ja tak żyję?

FELIKS.

Czyż potrzeba, aby mi kto mówił? Od lat pięciu studyuję — badam — szukam iskierki ciepła w tem pięknem ciele....

IDA (*przerywając*).

Panie, komplimenta nie w modzie.

FELIKS.

Mniejsza o to, nie przerywaj mi pani — i przez te lat pięć coż odkryłem? Nic i nic....

IDA.

Ale za to znudziłeś mnie pan śmiertelnie (*ziewa.*)

FELIKS (*powstając*).

Czy to znaczy, że mam odejść — odejść na zawsze? Wypędzasz mnie, pani?!

IDA.

Coż znowu — tak niegrzeczną nie jestem. Nie na zawsze, ale na teraz odejdź pan — z tą pociechą — że udało ci się.... rozmarzyć mnie (*ziewa.*)

FELIKS.

Nie, tego nadto! — Słuchaj, Ido — kocham cię, jak nikt jeszcze nie kochał, ale igrać z sobą nie pozwolę. Dziś musisz mi stanowczo odpowieozieć — dać nadzieję, pewność — albo.... żegnam panią. Dość już tej zabawki!

IDA (*zimno*).

Unosisz się, kochany przyjacielu, a z tem ci wcale nie do twarzy. Ja igram z tobą? To szczególne! — Czyż dałam ci kiedy choć cień nadziei — choć prawdopodobieństwo wzajemności? Skąd taka pretensya?

FELIKS.

Dla czego nie odepchniesz mnie zupełnie, nie powiesz: idź, odejdź, nie wracaj! Nie, ty najczęściej odpowiadasz ironią, lub milczeniem, które budzi nadzieję.

IDA.

W tak szalonych głowach, jak pańska.

FELIKS.

Niech i tak będzie.... Ido! — czy pamiętasz chwilę, w której poznałem ciebie? Było to na balu — ty piękna, młodziutka, smętna, zdawałaś się unosić w wirach tanecznych, jak senne zjawisko....

(*Ida zamyśla się*).

FELIKS.

Od pierwszego wejrzenia pokochałem cię; pokochałem za twój smutek — za niewolę istoty, przykutej do człowieka, który nie był ciebie godzien.

IDA (*surowo*).

Panie, to był mój mąż!

FELIKS.

Przebacz, ale trudno mi mówić inaczej o człowieku, który cię unieszczęśliwiał.

IDA.

To prawda, ale też ja nie kochałam go nigdy. Gdybym kochała — kto wie, czy nie byłby innym.

FELIKS.

O! to złudzenie.

IDA.

Zostaw mi je pan.

FELIKS (*kończąc myśl poprzednią*).

Pamiętasz pani, że był czas, w którym prawie mogłem mieć pewność, że oddasz mi serce. Pamiętasz ten wieczor letni, kiedyśmy sami zostali w ogrodzie? Ja po raz pierwszy wyznałem ci miłość — a ty? tyś nic nie rzekła — ale pochyliłaś ku mnie skroń swoję, która naprzemian płonęła i bladła, i gdyby nie matka twoja....

IDA (*powstając*).

Skończ pan! To była chwila zapomnienia, jedyna chwila grzechu w mojem życiu. Byłam tak nieszczęśliwą! O! po stokroć bądź błogosławiona, matko moja, żeś córkę ocaliła od zguby!

FELIKS (*chwytając jej ręce*).

Więc przyznajesz, przyznajesz, Ido, że mogłabyś być moją?! Dla czegoż potem, kiedy wolną zostałaś, nigdy nie chciałaś mnie wysłuchać?

IDA (*chłodno*).

Panie Feliksie — usiądź pan — bo widzę, że potrzeba wyjaśnień (*siadają, chwila milczenia*).

IDA.

Czyś nigdy nie słyszał powieści o skorpionie, która opiewa, że zwierzę to, otoczone zewsząd niebezpieczeństwem, lub cierpieniem, w przystępie szału życie sobie odbiera?

FELIKS (*nieco zdziwiony*).

Znam tę historyą — ale jakiż ma związek z nami?

IDA (*wpatrując się w niego, dobitnie*)

Ja byłam w takiem położeniu. Mogłam się była rzucić w przepaść na ślepo, aby uciec od cierpień, które prześladowały mnie w domu. Nie wiedziałam, co czynię — kto jest przede mną — widziałam tylko rękę, która się do mnie wyciąga.

FELIKS (*oddychając ciężko*)

A więc to rozwiązanie sfinksowej zagadki? Rozumiem teraz i ów myt starożytnych, który skazywał na zagładę mało domyślnych.

IDA (*kończąc*).

I dla tego też, mój przyjacielu, wyjdę tylko za tego, kogo kochać będę, bo wówczas nie potrzebuję już obawiać się... błędu.

FELIKS (*wstając*)

Tak, masz pani słuszność. — Jednakże rzecz dziwna — zdaje mi się, że mam żal do ciebie.

IDA.

Zwykły wynik obrażonej dumy, wam, mężczyznom, zdaje się, że koniecznie was kochać musimy. A zresztą — jeśli nawet winną byłam wtedy.... jeślim dała powód do posądzania siebie o inne uczucie względem pana, niż o zwykłą przyjaźń — to dziś jestem w zupełnem prawie powiedzenia mu: nie kocham cię.

FELIKS (*z goryczą*).

Tak, nawet w razie, gdybyś pani kochała niegdyś, a dziś przestała — nawet w tym razie masz prawo mnie odepchnąć.

IDA, (*która wstała przed chwilą i była odwróconą od niego, zwraca się żywo*).

Tak, mam to prawo — bo i cóż mnie zmusi, abym postąpiła inaczej? Czy lepiej, abym całe życie kłamała? — Gdybym uniosła się nierozsądną wspaniałomyślnością i oddała panu swą rękę, nie dając serca, czy mogłoby to pana zadowolić?

FELIKS (*w nagłem uniesieniu*)

Ido! (*hamując się*) Nie, pani!

IDA.

Wreszcie, aby raz na zawsze zakończyć tę niemiłą sytuacyą, wyznam panu, że — że (*ciszej*) kocham innego — Cóż to, bledniejesz?

FELIKS (*po chwili, hamując się*).

O! nie trwóż się, pani, nie zemdleję — przeciwnie, wyznanie twoje powraca mi życie.... Dziś już patrzeć nie będę na panią, jako na istotę, któraby mogła należeć do mnie.... jako własność cudza, staniesz mi się w końcu zupełnie obojętną....

IDA.

Ze sposobu, z jakim to mówisz, mogłabym wnosić, że będzie inaczej — ale jeśli tak jest, tem lepiej — (*po chwili*) Pocieszysz się pan pewno, gdy się dowiesz — że.... nie jestem kochaną.

FELIKS.

Pani?

IDA (*szarpiąc chusteczkę z pozornym spokojem*)

Tak jest, ja — cóż w tem dziwnego?

FELIKS.

Więc i ty cierpisz!

IDA (*śmiejąc się nerwowo*)

Ha, ha, ha, jakżeś pan to tragicznie powiedział! (*powtarza*) „Więc i ty cierpisz!“ — Szkoda, żeś się pan minął ze swem powołaniem, trzeba było zostać aktorem.

FELIKS.

Po co to szyderstwo?

IDA.

Ależ, panie, ja nie umiem cierpieć z miłości, mogę być nią tylko szczęśliwa.

FELIKS.

Nawet bez wzajemności?

IDA.

Nawet — wystarcza mi świadomość, że ten ktoś nie kocha innej.

FELIKS (*zamyślony*)

I to pociecha! — Jednakże to nie wszystko.

IDA.

Któż ręczy wreszcie, że nie pokocha? —

FFLIKS.

To prawda!

IDA.

Nakoniec cóż jest miłość? Lekki zawrot głowy, nic więcej, prędzej, lub później przeminąć musi.

FELIKS.

O! nie mów tak pani.

IDA (*krzywiąc się)*

Jakżeś pan sentymentalny. A teraz, proszę, odejdź pan — już późno — muszę oddać wizyty, które zaniedbałam, nudna rzecz (*wyciągając rękę*) do widzenia.

FELIKS (*uroczyście*)

Żegnam panią

IDA (*zdziwiona*)

No, cóż to nowego?

FFLIKS.

Nic, pani, za mało mam siły, abym cię mógł widywać (*ciszej*) teraz.

IDA.

Dzieciństwo!

FELIKS

Wrócę wtedy dopiero, gdy mnie zawezwiesz sama.

IDA.

Nic łatwiejszego.

FELIKS.

Ale będzie to zarazem dowodem, że potrzebujesz ręki przyjaciela, na której zechcesz się oprzeć i że ja (*dobitnie*) zdołam cię wzruszyć.

IDA.

Więc na seryo pan myślisz?

FELIKS.

Pożegnać cię, pani — Tak jest, zupełnie seryo.

IDA (*gniewnie*)

A idź sobie — zatrzymywać nie będę.

FELIKS (*odchodząc*)

Pamiętaj, pani, na warunek.

IDA (*szyderczo*)

O! na to długo pan poczekasz.

(*Feliks odchodzi)*

## SCENA II.

IDA (*sama*).

(*Rozdrażniona chodzi)*. Szalona głowa! Dobrze, że sobie poszedł. Dzień w dzień słuchając oświadczyn miłosnych, zachorować można na prawdziwą „febris amorosa“, która grozi rozrzedzeniem mózgu. Jeszcze tego brakło, abym ja do duetu zaczęła wzdychać, płakać, powtarzając: „czy kochasz? czyś mnie kochał, czy kochać nie przestaniesz? kocham, kochamy się“ i t. d. przez wszystkie czasy i tryby aż do zemdlenia. (*siada przy stoliku, przerzuca książki, po chwili*) Nie przyjdzie. To jednak fatalne — jak się przyzwyczaimy do czyjejś twarzy — trudno nam potem odwyknąć. — Już teraz na samę myśl, że nie wróci, zaczynam

się niecierpliwić. (*otwiera książkę z poezyami Gomulickiego, czyta*) „O, nie odchodź ode mnie — ty, coś stała zawsze na straży moich marzeń, jako gwiazda złota — patrz, dni coraz chmurniejsze, niebo coraz łzawsze i coraz więcej cierni na różach żywota“... (*zamyśla się*) Jak on to pięknie czytał.... (*po chwili*) W jego poczciwych oczach jest coś, co nawet mnie nieraz wzruszało — żal mi tych oczu. — To fatalne! Dla czego nie mogliśmy pozostać przyjaciołmi? Och! ta miłość, ta miłość — nienawidzę jej! (*wchodzi pokojowa*).

SCENA III.

IDA, pokojowa (*podając list*).

List do pani.

IDA.

Pokaż. (*bierze list*) Możesz odejść (*pokojowa odchodzi*).

SCENA IV.

IDA (*sama, patrzy na adres*).

Co to być może? — ręka mi nieznana (*otwiera list i przebiega szybko oczami*) Boże! (*czyta*) „Pani! zdziwisz się, odbierając list od człowieka, który dotąd nie ośmielił się pisać co Ciebie, a bardziej może, gdy dowiesz się, co jest przyczyną tego śmiałego kroku. Oddawna uczucia moje dążyły do Ciebie, Pani, ale zawsze wstrzymywały się na wpół drogi, omdlałe z obawy, czy je zechcesz przyjąć. — Dzień wczorajszy, który zaliczać będę do najpiękniejszych w mojem życiu, wzbudził we mnie nadzieję i ośmielił zarazem do prośby o rękę Twą, Pani, dar, który najdroższym mi będzie....“

(*patrzy na podpis*)

Stanisław.

Och! jest jeszcze post scriptum! (*czyta*) „Jedno Jej słowo wystarczy, aby mnie uszczęśliwić — „Napisz mi: Przybywaj — lub nie pisz wcale.“ (*skończywszy czytać, z największą radością*). Czy to sen? — Stanisław!... a więc mnie kocha, kocha na prawdę! — Boże — jakżem szczęśliwa! — Biedny Feliks!... Feliks? Jakto? w tej chwili jeszcze myślę o nim.“ Precz z tą myślą, dziś i zawsze o tobie tylko myśleć będę, o tobie, mój Stanisławie. (*przebiega list*) Jedno słowo odpowiedzi go uszczęśliwi. — Ależ zaraz, natychmiast. (*siada przy biurku i pisze*) Przybywaj! (*adresuje, dzwoni, wchodzi pokojowa*).

SCENA V.

Pokojowa — IDA.

IDA.

Odnieś list podług adresu, natychmiast! (*pokojowa odchodzi*).

(Dokończenie nastąpi.)

# Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy.)

Że matki - Polki gotowemi są do poświęceń i ofiar nietylko dla pojedyńczych osób, dla swego rodzinnego gniazda, ale i natenczas, gdy o szerszych kół chodzi dobro — zaszczytnie uznanem zostało nawet i przez obcych. Przejęte myślą, że Bóg kobietę do wyższych prawdziwie przeznaczył celów, tworzą rodzinę, ten posiew święty, odradzający ludzkość, i uszlachetniejący społeczeństwo nasze. Uzyskawszy imie matki, o którem Baliński pięknie wypowiada:

„Nad wszelkie sławy, nad wszelkie godności,
Nad wszelkie dary i ziemi dostatki,
Nad wszelkie urojone tytuły, wielkości —
Stokroć wyższe i stokroć świętsze imie matki!“

— niezawodnie wszelkich dołożą starań, aby dzieciny, przez Boga im powierzone, na żadne nie były wystawione niebezpieczeństwa.

Aby je przeświadczyć o doniosłości świętego obowiązku karmienia dzieci własną swą piersią, z której one oprócz pokarmu podwójną miłość — bo nietylko do nich, ale i do wspólnej naszej matki-ojczyzny — wyssać mają, zwracamy i na to jeszcze uwagę, że — wypłacając dług ten przyrody — niejednę przy życiu utrzymają istotkę, która, nawet zdrowej oddana mamce, mogłaby stać się ofiarą śmierci. Nie zawsze bowiem jednakowo zabezpieczone są zdrowie i życie dziecka przy karmieniu przez własną matkę, lub przez najlepiej wybraną mamkę. Spostrzeżenia i obliczenia stosunku śmiertelności, na ten cel w różnych krajach dokonane, wypadły dość zgodnie; z dzieci, karmionych przez matki, zmarło 3—4%, — przez mamki zaś w rodzinach 5% niemowląt Wyniki obliczań w rozmaitych domach podrzutków, przez Friedmana zestawione, podają nam inne liczby. Gdy karmienie niemowląt powierzono matkom, to 18% z nich uległo cierpieniom dziecięcym — a gdy mamkom, natenczas śmiertelność aż do 30% dochodziła.

„Mleko najętej obcej kobiety, różniącej się namiętnościami, uczuciem, organizacyą nerwową i całym ustrojem od matki dziecka, stanowi częstokroć niezdrowy pokarm dla tego ostatniego. Nieraz własne dziecko matki znosi jej pokarm, dziecku zaś uprzywilejowanemu mleko jej szkodzi, wywołując niestrawność i inne zaburzenia“ *)

Znanem jest powszechnie, że wpływ ujemny na własność pokarmu mamki wywierają gwałtowne wzruszenia, zmiana powietrza, pożywienia, trybu życia, na które — z wyjątkiem może pierwszego — matki już nie są narażone. Silne i jędrne kobiety wiejskie, które to najchętniej na mamki wybieramy, przyzwyczajone do życia spokojnego, karmiące się potrawami prostemi, przebywające wiele na świeżem powietrzu i do ciężkiej poniekąd przywykłe pracy, przeniesione w inne zupełne stosunki, tracą bardzo często w pierwszych dniach, lub tygodniach swego niezaszczytnego zawodu pokarm ów obfity, którym przy ugodzie tak się chlubiły. — Uchronić je można przed tem rozpaczliwem położeniem, zwracając im zaraz przy wstępie na to uwagę, że bezczynne życie, siedzenie w zaciemnionym i mało wietrzonym pokoju, niezachowanie miary w jedzeniu i piciu na skład i ilość ich mleka niekorzystnie wpłynąć musi.

Tęschnota za domem rodzinnym i opuszczonem dzieckiem, pokątne łzy, zgryzota stają się u wielu żywicielek, zwłaszcza w pierwszym okresie ich zawodu, obfitem źródłem niepokoju, niestrawności i wychudnienia powierzonego im niemowlęcia. Znanemi są wypadki, że mamki, spostrzegłszy zanik swego pokarmu, i widząc, że tenże nie wystarcza na zaspokojenie głodnej dzieciny, pozwalały sobie, zwłaszcza, gdy nie były stale śledzonemi, zastępować go pożywieniem innem, które z przeznaczonych dla siebie potraw bezsumiennie, pokątnie niemowlęciu zadawały — i to z obawy przed utratą zajmowanego donośnego swego stanowiska. Że fortel ten nie obył się bez groźnych następstw, łatwo sobie wyobrazić można.

„Jakże się strzedz wypada, gdy mamce powierzamy zdrowie, byt, szczęście dziecięcia! Mamka może być wolną od wszystkich przywar moralnych, trzeźwą i niegniewliwą, skład mleka, kształt paznokci, stan zębów, barwa włosów, cera, tusza, skóry czystość i t. d, wszystko to może być zadawalającem, a jednak jeszcze mamka pod wszystkiemi temi względami nienaganna może mieścić w krwi swojej

*) Winters. Wiadomości literackie. Rok II. Zeszyt 5. strona 137.

jad, którego skutki wybuchną może o lat kilka później, a który w krew swą młodą, tak żywo krążącą, biedne dziecię wsysa i nie wiedząc, co robi, zatruwa w sobie całej istności szczęście." Tak straszy matki T. Tripplin w swej „Hygienie polskiej," gdy się nad najlepszym pokarmem dla nowonarodzonego dziecka rozwodzi — i wskazuje im tenże we własnych ich piersiach*).

„Matka powinna zawsze chcieć karmić, a tylko lekarz jej domu może jej tego zabronić, wypowiada słusznie bezimienny autor dyjetetyki dzieci, we Lwowie w roku 1869 wydanej. — Pragnąc szczerze, aby matki, Polki jak najliczniej własną piersią karmiły swe dzieci — jesteśmy przekonani, iż z każdym dniem przybywać nam będą dowody, iż matki, karmiące własne dzieci, najlepszem się cieszą zdrowiem, że uroda ich i młodość żadnego nie doznają szwanku, jeśli ta miła ofiara podług pewnych przepisów się odbywa i za długo nie jest składaną — wreszcie, że za poświęcenie swe sowitą odbierają nagrodę — bo zwiększają liczbę zdrowego pokolenia.

*) T. Tripplin, autor pamiętników lekarza polskiego. „Hygiena polska czyli sztuka zachowania zdrowia, przedłużenia życia i uchronienia się od chorób." Tom I. Warszawa 1857. Str. 33.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Wiadomości literackie i rozmaitości.

**Na Konkurs** „Kuryera warszawskiego" nadesłano 40 powieści. Jedno z pism zakordonowych robi przytem następującą uwagę: Transport ten stanowi porządną górę zapisanego papieru. Sędziowie będą mieli wiele roboty, aby dobrze zbadać cały materyał i wydzielić z niego najcenniejsze ziarna. Tytuły niektórych utworów są obiecujące, a łącznie z godłami świadczą, że żywioł tendencyjny, społeczny przeważa w tej produkcyi literackiej, chociaż niektórzy teoretycy, lekceważąc fakta rozwoju sztuki, pragnęliby go wykreślić z twórczości, — Niektóre tytuły powieści brzmią: „Wykolejony", „W cierniu", „Wyżej", „Dwa prądy" „W ciemnościach", „Za cudze grzechy", „Stój, chwilo", „Godło życia", „Na placówkach życia", „Za promieniem słońca", „Zbłąkana", „Dwie drogi", „Księga niedoli" i t. d.

W skład komitetu konkursowego wchodzą pp. Ludwik Jenike, Piotr Chmielowski, Adam Pług, Józef Kotarbiński, Stanisław Krzemieński, Henryk Sienkiewicz; a ze strony redakcyi „Kuryera" pp. Teodor Jeske-Choiński i Wiktor Gomulicki.

**Zmarły** obywatel guberni Wołyńskiej, św. p. Klemens Woźniakowski, przeznaczył 30,000 rsb., jako kapitał żelazny, z odsetek którego płacone będą hojne nagrody za rozprawy naukowe, płody beletrystyki i utwory ludowe. Suma, lokowana po 5 procent rocznie, przyniesie przez 4 lata 6,000 rsb, które będą rozdzielone w trzech równych częściach między autorów najlepszych dzieł w trzech wyżej wymienionych rodzajach utworów. Exekutorami testamentu mianował zmarły ofiarodawca swych krewnych, oraz obywateli sąsiednich, którzy obowiązani są starać się o dobrą lokacyę kapitału, a przy rozdawaniu nagrod przybierą ośmiu literatów i uczonych.

**Panna** Karolina Mainard, córka Polki i Francuza w Paryżu, młoda, utalentowana, miłująca język swej matki autorka, która już dawniej odznaczyła się przekładami utworów polskich na język francuzki, ogłosiła świeżo w odcinku jednego z pism paryzkich swój przekład noweli Choińskiego: „Proletaryusz", który w kołach literackich stolicy zyskał powszechne uznanie. Na dowód talentu młodej poetki dodamy, że kiedy zeszłego roku mieszkańcy Szampanii obchodzili w Eperney uroczystość dziewicy Orleańskiej, p. Karolina Mainard otrzymała za wiersz ku czci Joanny d' Arc nagrodę konkursową.

**Roger-Peyre** wzbogacił w ostatnim czasie literaturę francuzką dziełem jedno-tomowym o 900 stronach, zdobnych wspaniałemi ilustracyami p. t. „Napoleon I i jego czasy." Autor, młody profesor jednego z kolegiów paryzkich, kreśli tu żywot wielkiego bohatera od kolebki do grobu. Opiewa dziecięce lata jego, spędzone na Korsyce, młodzieńcze w szkole wojskowej w Brienne, prowadzi nas dalej w ślad za swym bohaterem na pole wawrzynów i sławy, którą rozbrzmiewała cała korząca się wówczas u stóp jego Europa, ukazuje grozę klęsk i upadku i smutny koniec olbrzyma na odludnej wyspie, skąd wreszcie „wydarto go z ziemi... popiołem". Jakkolwiek przeważną część dzieła poświęcił autor wypadkom politycznym epoki, nie pominął milczeniem, ale wiernie odfotografował obyczaje owych czasów, stan oświaty i umiejętności w dziedzinie nauk i sztuk pięknych. Dzieło p. Rogera-Peyre i nas interesować winno w szczególności, bo ma związek z nieodległą jeszcze przeszłością naszą, bo obok znakomitych bohaterów całego ucywilizowanego świata ówczesnego jaśnieją wspaniałe postacie i naszych wielkich przodków, co krwią swoją znaczyli ślady i ciałami własnemi torowali drogę do zwycięztw nowożytnemu Hannibalowi.

**Pan Valmore,** syn znanej francuzkiej poetki, p. Desbordes-Valmore, ma zamiar wydać wkrótce obszerną pracę w języku francuzkim p. t. „Poezya na Ukrainie", którą w rękopisie pozostawił zmarły przed czterema laty św. p. Leonard Rettel. Pomiędzy przekładami znajdują się w rękopisie tym „Dumy" Bohdana Zaleskiego, „Sonety krymskie" Mickiewicza, „Mohort" W. Pola, wreszcie niektóre poezye Padury, Szewczenki i w. i.

**W Warszawie** ma powstać instytucya p. n. „Towarzystwo noclegowe w celu niesienia ulgi nędzarzom. Zadaniem „Towarzystwa" jest urządzanie sal noclegowych dla nędzarzy, wynajdywanie im pracy, szukanie dla nich wsparcia i polecanie biedaków opiece ludzi miłosiernych. Członkowie stowarzyszenia płacić mają po 3 rsb. rocznie, a fundusz z tych składek powstały ma być podstawą tej nowej filantropijnej instytucyi.

## LISTKI.

**Szanowne Czytelniczki** „Domu polskiego" prosimy uprzejmie o nadsełanie nam łamigłówek i szarad wierszem i prozą, również o rozwięzywanie zamieszczonych — ostatniej nikt dotąd z prowincyi nie rozwiązał.

**Pani Maryi P. w Rzęsz.....:** Za okazaną tylokrotnie pismu naszemu życzliwość i pamięć serdecznie dziękujemy.



Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.